INTERNET ARCHIVE Wayback Machine
https://encysol.pl/wiki/Relacja Joanna_G%C3%B3recka
Go
3 captures
10 Jun 2019 - 30 Oct 2020
MAY JUN AUG
2018 10 2019 2020
About this capture

ENCYKLOPEDIA SOLIDARNOŚCI

Tylko w Internecie.

Relacja Joanny Góreckiej-Kality

Opozycyjność towarzyszyła mi chyba od zawsze. Odkąd pamiętam w domu rodzinnym słuchałam o innej Polsce niż była ta, w której przyszło mi się wychowywać. Wynikało to z sięgających w odległą przeszłość tradycji pochodzącej z kresów rodziny. Mój dziadek był majorem artylerii konnej Wojska Polskiego dwukrotnie odznaczonym za udział w wojnie polsko bolszewickiej. Takie dziedzictwo musiało oczywiście obligować do kształtowania moich poglądów. A wyrastały one na dosyć poważnej głebie jaką poza przysłuchiwaniem się rozmowom, było czytanie niezależnej literatury, której nigdy w moim domu nie brakowało. Rodzice w czasach mojego wczesnego dzieciństwa nie byli co prawda zaangażowani w jakąś konkretną działalność opozycyjną. Nie byli dysydentami, a raczej sympatykami opozycji i w 1980 zaangażowali się w „Solidarność", ale przecież nie trzeba było wtedy być dysydentem, żeby z racji wyznawanych poglądów narazić się na kłopoty. Mieli oni ze mną pewien kłopot i nieraz zastanawiali się, czy mnie skrajnej gadulie powiedzieć rzeczy, które później w szkole ochoczo publicznie ogłoszę. Obawy te były nie bezpodstawne gdyż pamiętam jak we wczesnej podstawówce zaprotestowałam dlaczego obchodzona jest tylko rocznica pierwszego września, a nie również ważnego siedemnastego? Zrobiła się z tego jakaś straszna afera z wezwaniem rodziców do szkoły. Pamiętam też jak po wprowadzeniu Stanu wojennego, do mojej klasy przyszły paczki z pomocą ze Związku Radzieckiego. No a ja, mając wtedy 12 lat, powiedziałam, ze odmawiam przyjęcia prezentu od okupanta! Kolejna awantura i kolejne wezwanie rodziców, którzy jakoś te moje poglądy musieli przed ciałem pedagogicznym tłumaczyć.

Tamten system wydawał mi się tak zły, że jakimś wewnętrznym nakazem stało się dla mnie przeciwstawianie mu. Ten opór narastał w miarę dorastania, ale jak sięgam pamięcią był we mnie zawsze. Kiedy powstała Solidarność oczywiście, zakwałam, ze jeszcze nie jestem dorosła, ale za to zaniosłam do jej siedziby swoja pierwszą tygodniówkę. Tuz po 13 grudnia chodziłam zamaskowana po klatkach schodowych ukradkiem zrywając plakaty i ogłoszenia WRON-y. W pierwszej demonstracji uczestniczyłam dosyć przypadkowo. A było to w Warszawie, do której wybrałam się z Mamą w zupełnie innym celu. Znaleźliśmy się na Placu Zwycięstwa, na którym przed Pomnikiem Nieznanego Żołnierza ludzie układali ogromnych rozmiarów krzyż z kwiatów. Nie wolno się było przy nim zatrzymywać, więc zgromadzeni chodzili dookoła, a ze coraz więcej ich się zbierało, pojawiło się też bardzo dużo milicji. A ja bardzo ciekawa przebiegu dalszych wydarzeń poleciałam tam gdzie był największy tumult. Po chwili zaczęło się robić bardzo niebezpiecznie, bo ludzie przestali już krazyć i rozpoczęła się regularna zadyma. Nie miałam oczywiście zamiaru startład odchodzić, ale Mama odnalazła mnie i natychmiast zabrała.

Później w Liceum przez towarzystwo Oazowo – KiK-owskie trafiłam do grupy, która nie była, tak jak i pewnie wiele innych, w zaden sposób sformalizowana, ale przejawiała aktywność. Razem chodziliśmy na demonstracje w rocznicę Masakry na Kopalni Wujek. Po jednej z rocznic zdarzyło się, że trójka naszych kolegów została zadenuncjowana przez ubeka i za udział w manifestacji i rozrzucanie ulotek zostali oni na rok przed maturą karnie usunięci ze szkoły. Postanowiliśmy zemścić się na tym ubeku i puszkami z czerwoną farbą wytłukliśmy wszystkie okna w jego mieszkaniu. Działo się to w grudniu, więc dosyć dotkliwą była ta kara. Mniej więcej w tym czasie Ojciec zorientował się już w mojej aktywności i przeprowadził ze mną ważną rozmowę. Usłyszałam od niego, ze jak nie otrzymam formalnego wezwania mam nie stawiać się na żadne przesłuchania, mam nie mówić nikomu nawet jemu i mamie o tym co robię, z kim się spotykam itp. Myślę, że w przeciwieństwie do wielu młodych ludzi, będących w tym czasie w podobnej sytuacji byłam jedną z niewielu otrzymujących od Rodzica nie przysłowiowy ochrzan, ale dosłowny instruktaż!

Ojciec poza pamięcią o losie wygnanej z Wilna rodziny, utracie Kresów Wschodnich i kultywowanej w domu tradycji Polski Niepodległej miał jeszcze jeden ważny powód aby mu się ten ustrój nie podobał. Otóż jako inżynier, a był chyba najbardziej nieszczęśliwym inżynierem na świecie, gdyż za radą mojego dziadka zamiast ulubionej przez siebie historii studiował inżynierię na politechnice. Stało się tak dlatego, ponieważ Dziadek wytłumaczył mu, ze jako historyk w tym zakłamanym ustroju albo się ześwini albo on i jego rodzina będzie przymierać głodem. I Tato jako inżynier bez powołania wyjeździał często na zagraniczne budowy, lecz z racji jego talentów lingwistycznych pełnił tam funkcje tłumacza. W połowie lat siedemdziesiątych ojciec napisał do tygodnika „Polityka" list piętnujący nadużycia w jego zakładzie pracy. Nie wiem, czy nadużycia ustały i czy kogoś za nie ukarano, ale Ojca wezwano do SB i tam nakłaniano do podpisania zobowiązania do współpracy. Oczywiście odmówił, więc odebrano mu paszport, którego nie mógł odzyskać przez długie lata. A działo się to tuż przed mającym za chwilę nastąpić wyjazdem na kontrakt do Norwegii. To była dla niego wielka tragedia, zresztą dla mnie też, a pamiętam swoje rozczarowanie, bo jako siedmioletnia dziewczynka bardzo chciałam zobaczyć Skandynawię, o której rodzice mówili, że jest najspokojniejszym miejscem na ziemi. Na pamiątkę tego niedoszłego wyjazdu pozostało mi zrobione wspólnie z Ojcem zdjęcie paszportowe. Był bezkompromisowy wtedy i do dzisiaj pozostał człowiekiem głębokich zasad moralnych, a moja Mama, kiedy jej powiedział, ze odmówił podpisania tej lojalki odpowiedziała mu, ze rozwiodłaby się z nim, gdyby to uczynił! Postawę moich rodziców charakteryzują słowa wypowiedziane przez ich przyjaciół, którzy byli bardzo religijni i poza tym zaangażowani w działalność opozycyjną. I kiedy ten znajomy był zagrożony aresztowaniem, a jego żoną rozpaczała bo znowu wychodził z domu, odpowiedział jej tymi słowami – Nie martw się Gośka! Mamy jeszcze przecież ku. a życie wieczne! Ta sentencja, pomimo swojej niezbyt wyszukanej formie, stała się dla mnie wyznacznikiem i najważniejszym nakazem moralnym jaki wyniosłam z domu.

Przy okazji jakichś wyborów do komunistycznego nibysejmu wspólnie z przyjaciółmi z katowickiego liceum zrobiliśmy gazetkę szkolną, której wykonanie powierzyło nam niczego złego nie przeczuwająca dyrekcja. Jednym z tych przyjaciół był (i jest) dzisiaj dobrze znany nie tylko kabaretowej publiczności Dariusz Basiński z Kabaretu Mumio. On wraz z Rzyszkiem Prusem, obecnie reżyserem teatralnym udał się do wuli i zbierali opinie szerokich mas społecznych na temat nadchodzących wyborów. Dobór rozmówców i zadawanych pytań obnażył całkiem ucyniczny idiotyzm i skrzętnie panującego systemu, więc efekt końcowy nijak się miał do zamiarów dyrekcji szkoły, która nie podzielała wcale poczucia humoru reporterów. Którzy zgodnie z założeniem o szerokich konsultacjach społecznych przeprowadzali wywiady z babciami klozetowymi i bezdomnymi na dworcu. Nagrania stały się wielkim hitem i przegrywano je na kasety, ale z powodu zamieszczenie stenogramów z tych rozmów w gazetce wywołało kosmiczna awanturę. Pamiętam wypowiedź babci klozetowej, która całkiem na poważnie mówiła, że: Oczywiście idzie na wybory, bo to ważny obywatelski obowiązek i trzeba pogonić tych pedałów co tutaj do szaletu przychodzą. Jednakże wspomniani koledzy chociaż dobrze ukierunkowani to jednak mieli bardziej zapędy intelektualno artystyczne. Co prawda czytaliśmy książki, dyskutowaliśmy, słuchaliśmy Kaczmarskiego, lecz ja drugą nogą byłam w towarzystwie zadymiarskim i na pewno bardziej określonym politycznie.

W 1987 moja praca maturalna została nagrodzona w konkursie „Życia Warszawy" i otrzymałam nagrodę w postaci wyjazdu zagranicznego na obóz narciarski. Jako, że ten wyjazd był organizowany przez ALMATUR, czyli agendę Zsypu napisałam list, w którym poprosiłam o wypłacenie równowartości. Kiedy mi odmówiono poszłam do jakiegoś biura i wyjaśniłam, ze z przyczyn ideologicznych rezygnuję z przyjęcia tej nagrody jednocześnie poprosiłam o przekazanie jej komuś potrzebującemu. Pani, z którą rozmawiałam nie ukrywała swego zaskoczenia i powiedziała mi, ze dotychczas tylko jeden raz cos takiego się zdarzyło i odmawiającym był .. kleryk.

Podczas Papieskiej Pielgrzymki w 1987 roku pojechałam do Gdańska i nie ukrywam, ze nie mniej niż przeżycie duchowe wspominam ja jako podążanie szlakiem zadym, które jej oczywiście towarzyszyły. Po spotkaniu z Papieżem na Westerplatte uczestniczyłam w Mszy na Zaspie, po której zgubiłam się rozdzielona z moja ekipa przez armatkę wodną. Byłam wtedy w swoim żywiole i nigdy z tych dni nie zapomnę atmosfery prawdziwej wolności, jakże innej niż powszedniość panująca ówcześnie w naszym kraju. Poznałam tam ludzi z wrocławskiego WiP-u i szłam razem z nimi na bosaka, po kałużach, środkiem ulicy śpiewając Raduje się serce, raduje się dusza, gdy Pierwsza Kadrowa na moskala rusza!

W tym samym roku przyjechałam studiować do Krakowa. Dzisiaj może to zabrzmi śmiesznie, ale ja wtedy nie mogłam się wprost doczekać, kiedyż wreszcie się zacznie ta moja wymarzona opozycyjna działalność. Żyłam wtedy w poczuciu umykającego czasu, bo komuna zaczynała pękać, a ja nie przyczyniłam się jeszcze stopniu mnie zadowalającym do jej upadku, co było, przyznam szczerze dosyć frustrujące. Pierwszą zapamiętana przeze mnie dużą demonstracją było dwudziestolecie Marca 1968 roku. Pierwsze lekkie utarczki z ZOMO a mnie bardzo zaciekawiła wtedy opowieść wiecznego studenta Zbyszka Jankowskiego, który opowiadał o wydarzeniach z przed dwudziestu lat, gdyż był ich uczestnikiem, również wtedy jako student pierwszego rokuł Dzisiaj instytucja wiecznego studenta jest już chyba wymarła, a jeżeliby gdzieś jakiś ocalał, to mógłby pewnie wspomniać o tym co działo się właśnie wtedy przed ostatnimi dwudziestoma laty.

Później był strajk w Hucie i strajk okupacyjny na Miasteczku Studenckim. Akademiki zamienione w twierdze, służba porządkowa, sprawdzanie przepustek no i towarzyszące nam wszystkim poczucie, ze robimy coś ważnego. Niekoniecznie się dyskusje, debaty, atmosfera gorączkowego rozpatrywania i mnóstwo wypalanych papierosów. Z tamtych chwil pamiętam Manuelę Grelkowską wypisującą czerwonym barszczem Winiary transparenty i pełne przejęcia komunikaty, na przykład o przyłączeniu się kopalni Manifest Lipcowy. Wtedy po raz pierwszy poznałam ludzi należących do Konfederacji Polski Niepodległej. Związałam się na stopie prywatnej z jednym z nich, ale też zaczęłam czynnie uczestniczyć w działaniach KPN. Ten mój wybór powodowany był chyba przyrodzonym naturalnie radykalizmem, a Konfederacja nawet z w swojej nazwie eksponuje słowo Niepodległość jakby odpowiadała moim oczekiwaniom. Pomiędzy hippiswska - anarchistycznymi ciągotami a tradycją przekazaną w domu rodzinnym była głęboka przepaść, ale wybrałam właśnie KPN, gdyż był bardziej radykalny i bliski temu czym nasiąkałam od dzieciństwa. I nie zrażało mnie wcale odium awanturniczości, które przydawano ciągle Konfederacji w oficjalnym obiegu, a nawet wręcz przeciwnie tylko bardziej mnie ono do niej przyciągało.

Chociaż więcej dziewczyn działało, albo lepiej by powiedzieć, kręciło się przy WiP-ie i NZS-ie to jednak KPN wydawał mi się konkretniejszy jeżeli nie w działaniu to na pewno artykułowaniu własnych celów. Zresztą nie pamiętam, ażeby pomiędzy tymi organizacjami odbywała się jakaś rywalizacja. Była ścisłą współpraca w działaniu przeciwko jednemu wrogowi – dogorywającej już wtedy komunie i bardziej można było zauważyć coś w rodzaju ducha zdrowej konkurencji. Jednym z przykładów takiego wspólnego przedsięwzięcia była na pewno okupacja Studium Wojskowego. Tam, ze część członków Konfederacji nie podobało się zaangażowanie młodzieży w wojowanie z armią, ale uwazaliśmy wtedy, ze ta armia nazywająca się Ludowym Wojskiem Polskim, z prawdziwym Wojskiem Polskim niewiele ma wspólnego, dla nas była to skomunizowana i indoktrynowana formacja wysługująca się Moskwie, a Studium Wojskowe jej przyczółkiem na Uniwersytecie. Szefem był wówczas pułkownik Brochwicz-Ledochowski (ojciec dzisiaj szerzej znanego Wojciecha Brochwicza), a wice niejaki Migdał, który zresztą wytoczył Przemkowi Markiewiczowi i Pawłowi Chojnackiemu sprawę za czekowe oberwanie guzika do munduru. Była to wierutne kłamstwo, gdyż na własne oczy widziałam, ze nic takiego nie nastąpiło, ale chyba specjalnie to oskarzenie padło jednocześnie na członków KPN i WiP. I właściwie nie wiadomo czego taki zestaw miałby dowodzić, ale jestem pewna, ze było to zamierzone. Co ciekawe w trakcie odbywającej się z tego powodu rozprawy, większość świadków – podkomendnych Migdała, czując chyba, ze wiatr zaczyna wiać już z innej strony – albo tracila nagle pamięć, albo zeznawała na korzyść oskarzonych. Zresztą atmosfera panująca na sądowej sali nie wyraźnie nie sprzyjała powadze urzędu, bo pamiętam jak Maciek Gawlikowski wywoływał salwy śmiechu przejęzyczając się przy przytaczaniu nazwiska słynnego sierzanta Ryba. Za każdym razem wynawiał je jako Tryper, przez co Ryper vel Tryper wyraźnie tracił rezon i nie był już tak groźny jak na zajęciach SW. Nie wiem jak inni uczestnicy okupacji, a teraz przedstawiają jej przebieg również publicysci i historycy, ale ja zapamiętałam, ze nie nudziliśmy się tam wcale dzięki przyniesionym przez Grześka Surdego kasetom wideo z Kaczorem Donaldem, które namiętnie oglądaliśmy. I bynajmniej nie zakłócało to powagi chwili, a przeciwnie uczestniczyliśmy w bądź co bądź ważnym w tamtym czasie, wydarzeniu politycznym. Swojego udziału w tym i zresztą wszystkich innych działaniach młodej opozycji nie uważałam za robienie przeze mnie polityki. Wcale nie miałam takiego zamiaru, bo oceniając rzeczywistość te swoje poczynania uzasadniałam potrzebą wspomożenia dobra, gdyż rządzący komuniści jawili mi się jako okupanci, kolaboranci stojący po ciemnej stronie mocy. Zawsze protestowałam słysząc, ze na przykład księża nie powinni zajmować się polityką. Ta władza często potrafiła za zajmowanie się polityka studentów i robotników, a dla mnie to było nie była polityka, ale wręcz obowiązek płynący z nakazu moralnego. W tym postanowieniu byłam ta tyle konsekwentna, ze kiedy komuna już wreszcie padła, bardzo się ucieszyłam również i dlatego, ze mogłam zająć się o wiele ważniejszymi dla mnie niż polityka sprawami – średniowieczem, literaturą XII wieku, czymś co mnie pasjonowało i czym zajmuję się do dzisiaj. Na myśl mi wtedy nie przyszło, że miałabym w wyczekiwanej Wolnej Polsce zajmować się działalnością polityczną. Jednak zanim nastała Niepodległa, pojawiały się pytania czy mamy uczestniczyć w wyborach, których warunki ustalono przy kontestowanym również przez KPN „Okrągłym stole". 35 procentowa demokracja na którą zgodziła się strona Solidarnościowa bardzo nam się nie podobała, ale przewazył w Konfederacji pogląd, ze trzeba skorzystać z możliwości jakie dawał miała kompania wyborcza. I z jednej strony robiliśmy rzeczy jeszcze przed kilkoma miesiącami dla nas niewyobrażalne, a z drugiej mieliśmy pucuzice uczestniczenia w grze, której scenariusz napisano poza nami, gdzieś tam pod stołem, który chociaz niby okrągły, to jednak miał przeciez bardzo wiele kantów. Dzisiaj irytuje mnie trochę wyznaczenie rocznicy Odzyskania Niepodległości akurat na 4 czerwca. Zwłaszcza 20 lecie w tym roku obchodzono bardzo hucznie, a pamiętam, ze o najbardziej dzisiaj ja fetujący wtedy przed 20 laty, albo byli własnym wyborczym zwycięstwem tak zaskoczeni, ze aż wystraszeni, albo też stali po drugiej stronie i nie mieli wtedy zadnych powodów do radości, a uzyskali je dopiero teraz bo na ostatnim dwudziestoleciu całkiem nieźle wyszli. KPN stawał wtedy do nierównej walki i w kampanii wyborczej nasz zapał i entuzjazm miał wyrównać niedostatek środków, które były bardzo mizerne w porównaniu z tymi, jakimi dysponowały Komitety Obywatelskie, o komunistach nawet nie wspominając. Zresztą musieliśmy się zmierzyć nie tylko z biedą, ale i nieprzychylnym stosunkiem części ludzi z Solidarności. Pamiętam, jak Maciek Gawlikowski do klipu wyborczego Leszka Moczulskiego użył jako podkładu muzycznego fragment piosenki „Layla" Erica Claptona, na co Zbigniew Hołdys zareagował publicznym protestem w Gazecie Wyborczej. Stwierdził w nim, ze niedopuszczalnym skandalem jest użycie utworu tak wspaniałego artysty do promocji takiego jak Leszek Moczulski! Działo się to w czasach, w których nikt nie przejmował się, a nawet niewielu zdawało sobie sprawę z tego czym są prawa autorskie. To określenie kogoś takiego ukazuje stosunek już wtedy salonowego towarzysza do jakiego przynależał Zbigniew Hołdys będąc szefem kampanii wyborczej Solidarności w Warszawie. Ten ton wyższości pobrzmiewał także w Krakowie i ust prominentnych już wtedy niektórych działaczy Komitetów Obywatelskich, ale nie zwracaliśmy na głosy uwagi mając wówczas zbyt wiele do roboty. Hegemonię władzy w środkach przekazu i dominację Solidarności w rywalizacji plakatowej próbowaliśmy przełamać nowatorskim metodami. Jedną z nią było odwiedzanie mieszkańców Krakowa i przekonywanie do oddania głosu na Leszka, czyli po polsku domokrastwo, a inną wykorzystanie gazika pana Janka, który cały oklejony plakatami jeździł po mieście, a ja siedziałam w środku i z wielkim zaangażowaniem wzywałam do głosowania na Leszka. No i oczywiście nie dało się wtedy w Krakowie nie zauważyć nieustającego wiecu wyborczego KPN, który odbywał się na Rynku Głównym pod pomnikiem Mickiewicza. Nie wiem doprawdy dlaczego nie zgłoszono tego osiągnięcia do księgi rekordów Guinessa, zaskuję na nie pewno Ryszard Bocian zdzierając gardło, i to jak najbardziej dosłownie. W trakcie kampanii wiele się działo na ulicach, oczywiście brałam w tym wszystkim mniej czy bardziej aktywny udział. Ale, ze raczej nie pasowałoby do mnie rzucanie kamieniami w zomowców to można powiedzieć, ze w pewnym sensie byłam nieco mniej aktywna od co niektórych pozostałych. Ale przyznać się muszę, ze na jednej z demonstracji dosyć wyraźnie zaznaczyłam swoją obecność. Był to kolejny wypad na konsulat sowiecki, a chodziliśmy tam tłumnie i dosyć często, zadając wycofania z Polski armii rosyjskiej. Azeby podkreślić naszą dezaprobatę dla pobytu zapewne wszystkich sowietów w naszym kraju napisałam na tablicze z nazwą konsulatu czterolitorową nazwę pewnej, tylnej części ciała. Atmosfera wtedy była iście piknikowa i dosyć głęboko zabrnęliśmy w konwencji happeningu, bo jeszcze na dodatek, ktoś przyniósł portret Gorbaczowa z namalowanym na twarzy celownikiem. Tenże sfilmowany portret oraz mojego autorstwa cztery litery stały się, przez co najmniej kilkanaście tygodni, hitem dziennników i nawet specjalnych relacji telewizyjnych. Zrobiła się z tego straszna afera, Urban wyzywał nas prawie od terrorystów. Właściwie nie prawie, bo właśnie wtedy nazwał młodą opozycję z Krakowa Terrorystyczną Grupą Krakowską. Wtedy po raz pierwszy mnie zaaresztowano i fakt ten nie utwaliłby się tak mocno w historii mojej rodziny, gdyby nie podanie go do publicznej wiadomości przez Radio Wolna Europa. Napewnej Grzesiek Surdy powiadomił korespondentów i informacje o tym z Krakowa via Monachium usłyszała moja mama w odległych o kilkadziesiąt kilometrów Katowicach. Akurat wtedy zamaczała pranie w wannie i zadzwonił do niej wyjątek z Kopenhagi ogłaszając to czego przed chwilą się dowiedziała. Mama podrapała się po głowie, strzeliła lampkę koniaku, a o praniu przypomniała sobie, gdy wody było już po kostki. Zartujemy sobie, ze ten mój chrzest bojowy mieszkanie rodziców przez te lata pamięta, gdyż do dzisiaj podłoga stoi dęba. Po tej tak rozsławionej przez rozmowę telewizje zadymie niektórzy działacze Cepelii, czyli Solidarności oskarżali nas o zaprzepaszczanie wybitnych osiągnięć Okrągłego Stołu i wieszczyli co najmniej wybuch trzeciej wojny światowej. Odpowiedzieliśmy Marszem Pokutnym, który okazał się dobrym posunięciem ponieważ widok kilkuset klęczących przed milicyjna budką ludzi, kłócił się z wizerunkiem agresorów jakich z nas robiła oficjalna prasa. Nie zapomnę młodego chłopczaka z powieszona na piersi tabliczką o treści: Dałem się sprowokować! Ludzie to kupowali i wiedzieliśmy, ze można lepszą forma przekazywać poważniejsze treści, nie wszyscy byli co do tego przekonani, ale mnie takie stawianie sprawy bardzo odpowiadało. Było to wszak zgodne z moimi ikonoplastycznymi ciągotami, a jak ja pamiętam, to dokładnie ta demonstracja była prawdziwym pokazem inwencji twórczej uczestników W Konfederacji dominowały akcenty Bogoczyznianej powagi, a ja dobrze wiedziałam, ze ciągle odwoływanie się do tragicznych dziejów i wszelkiej tej bogoojczyźnianej martyrologii wcale nie przysparza nam zwolenników, zwłaszcza wśród młodzieży. Stąd się brały moje starania o odwrócenie tego trendu, a przyjęły postać pisma „Detonator". Wymyśliliśmy je wspólnie z Mackiem Gawlikowskim i Przemkiem Markiewiczem uznając, iż wydawanie odjazdowego i niepodobnego do wszystkich innych czasopism KPN przysporzy Konfederacji zwolenników, szczególnie wśród młodzieży. Było ono zupełnie pozbawione patosu i tego zadęcia jakie bilo praktycznie z większość pism wydawanych przez opozycję. Zawartością jednego z numerów były odpowiednio skompilowane cytaty z jakiegoś pisemka ZSP czy ZSMP, które oczywiście wyszydzały i dowodziły kretynizmu komunistycznych działaczy młodzieżowych. Kiedy indziej zamieszczaliśmy teksty uznawane za obrazoburcze i jeżeli by się im przyglądnąć z odpowiedniego dystansu zapewne bardzo bluźniercze byli. Niebodaj nawet posuwaliśmy się w tym pewnie trochę za daleko, no bo przecież niewielu poznało się na pełnym przewrotności poczuciu humoru czytając tytuły: Ulica Zdobywców Poczty Gdańskiej albo Obrońców Monte Cassino. Oczywiście aktywność ta nakładała się na codzienna pracę związaną z kampanią wyborczą. Dzisiaj się wiele i mieliśmy poczucie jeżeli nie tworzenia, to na pewno towarzyszenia historii. Na naszych oczach zmieniało się niemal wszystko